

Realne, czyli polskość. Postkolonialne problemy książki Jana Sowy

Filip Biatek

Przedostatni rozdział książki Jana Sowy *Fantomowe ciało króla* (2011) kończy się tymi słowami: „Jakkolwiek złowrogo brzmieć może podobna diagnoza dla współczesnych Polaków, Węgrów, Słowaków, Czechów lub Litwinów, Europa byłaby stabilniejsza, gdyby osobliwą «międzystrefą» oddzielającą Wschód od Zachodu trwale podzieliły się żywioły rosyjski i germański. Tak jakby Realne wciąż domagało się Symbolicznego potwierdzenia braku, za jaki uznać należy cały region Europy Środkowo-Wschodniej. Najwyraźniej jednak Realne jest również nośnikiem sprzeczności, bo każdy faktyczny podział tej strefy okazuje się równie niemożliwy do utrzymania, co jej autonomia. I to dobra wiadomość dla Polaków, Węgrów, Słowaków, Czechów lub Litwinów” (tamże: 492–493).

Polska jako brak, przeszkoda i problem

Czym jest owe „Realne”, spróbujemy sobie jeszcze wyjaśnić. Przytoczyłem ten fragment już teraz, gdyż skłania on do poczynienia dwóch uwag, które uzupełnione jeszcze jednym problemem będą stanowić

oś niniejszego tekstu. Po pierwsze, pada tu najważniejsza teza książki: Europa Środkowo-Wschodnia, a w szczególności Polska, może być określona jedynie przez *brak*, a konkretniej – przez „brak instytucji i rozwiązań charakterystycznych dla Zachodu” (tamże: 35). Polskość nie może być definiowana za pomocą pozytywnych wartości, gdyż pozytywność wiąże się wyłącznie z Zachodem, nasz kraj natomiast nie jest niczym więcej jak „brakiem tego, co pojawiło się na Zachodzie” (tamże: 372). Europa Zachodnia jawi się tu jako homogeniczny byt, wyposażony w uniwersalne walory. Jednakże takie przedstawianie globalnego centrum i postępowanie się dualizmem pozytywności i braku jest typową kolonialną strategią, którą próbowali demaskować badacze postkolonializmu. Sam Sowa zresztą również używa teoretycznych narzędzi wytworzonych w ramach dyskursu postkolonialnego, aby ukazać, w jaki sposób szlachta uzasadniała stopniowe powiększanie wpływów na Ukrainie. Powstaje więc pytanie, czy autor nie powieła kolonialnych narracji, których używa się tak często w odniesieniu do naszej części Europy.

Drugi problem z omawianą książką przedstawia się tak: Jan Sowa stawia tezę, że dla europejskiej stabilności byłoby lepiej, ażeby kraje *międzystrefy* nie były suwerenne. Nie jest to oczywiście wielce oryginalna myśl. Przeciwnie, ma ona dość długą tradycję, zarówno u polskich, jak i zagranicznych teoretyków. Ciekawe jest jednak to, że już w zacytowanym fragmencie Sowa dostarcza argumentu, który stoi w sprzeczności z tą myślą. Skoro bowiem „faktyczny podział tej strefy okazuje się niemożliwy do utrzymania”, to o jakiej stabilności tu mowa? Co zrobić z historią ruchów powstańczych,

Czy autor nie powieła kolonialnych narracji?

których w Europie Środkowej było dosyć sporo? Jak ukryć fakt, że nawet gdy żywioły germański i rosyjski podzielią się naszą częścią Europy, to prędzej czy później skaczą sobie do gardła? Dlaczego więc Sowa stawia tezę o stabilności, której przeczy już dwa zdania później? Otóż wydaje mi się, że autor jest – delikatnie mówiąc – sceptyczny wobec idei, że te dziwne plemiona zamieszkujące obszar między Odrą a Dnieprem mogą rządzić się same. Sceptycyzm ów (a może po prostu: niechęć do polskości jako pewnej rzeczywistości) sprawia, że miejscami stawia tezy, na które nie ma dostatecznego podparcia w faktach.

Dwie powyższe uwagi prowadzą do kolejnego zagadnienia wyznaczającego kierunek tego artykułu. Otóż autor przyjmuje rolę nie tyle historyka, który chce *po prostu* opisać dzieje Polski, ale raczej psychoterapeuty próbującego zdiagnozować problemy, z którymi zmagają się Polacy. Historyczne zdarzenia są symptomami, dzięki którym może się objawić prawdziwa natura naszego narodu. Przebicie się przez pozór prawdy na poziomie pojedynczego zdarzenia do

realności (Realnego), która w jakiś sposób „konstruuje” wszystkie historyczne wypadki, ma mieć moc terapeutyczną. W tym tekście zbadamy, czy książka Sowy może odgrywać taką rolę.

Realne a sprawa polska

Kluczowym dla Jana Sowy pojęciem jest koncept pochodzący od Jacques’a Lacana, wspomniane wyżej Realne, a wraz z nim pozostałe dwa składniki stycznej triady: Wyobrażeniowe i Symboliczne. Sowa za Alainem Badiou powtarza: „Realne to poziom czystego zdarzenia, Symboliczne to interpretacja tych zdarzeń w indywidualnej i zbiorowej narracji, zgodnej z symbolicznym uporządkowaniem obowiązującym w danym momencie historycznym, a Wyobrażeniowe – całościowa rama przedstawiająca sytuację, w której owa narracja się rozwija” (tamże: 363).

W książce Sowy pojawia się jeszcze szereg innych określeń Realnego: Realne jest czymś niemożliwym w porządku Symbolicznym (tamże: 386), Realne zawsze powraca na swoje miejsce (tamże: 365), Realne nigdy nie poddaje się symbolizacji (tamże: 363). Realne zatem – z perspektywy przyjętej przez Sowę – jest podstawą rejestru Symbolicznego, jednak nigdy nie może się w nim znaleźć. Objawia się ono tylko jako symptom. Celem analityka jest „bombardowanie Realnego metaforami, które pozwolą analizowanemu poddać symbolizacji coś, co wcześniej znajdowało się poza jakimikolwiek strukturami symbolicznymi i jeśli mogło jakoś wyrazić swoją prawdę, to tylko pod postacią bezsensownego symptomu” (tamże: 364).

Co zatem autor próbuje poddać symbolizacji? Myślę, że można wskazać dwie sprawy, które według autora należą do rejestru Realnego. Pierwsza to podział Europy wzdłuż Łaby. Jest to pęknięcie, które obja-

wia się w różnych konfiguracjach historycznych i na różnych poziomach symbolizacji. Jak wspomniano wyżej, Sowa opisuje różnice między Zachodem a Wschodem w kategoriach braku. A zatem na wschód od Łaby występują następujące negatywności: brak dziedzictwa rzymskiego, brak feudalizmu, niedorozwój kapitalizmu, miast i rzemiosła, zniewolenie chłopstwa i nieproduktywna gospodarka. Granicę na Łabie zdaniem autora potwierdzają również decyzje polityczne. Na przykład, Sowa za potwierdzenie jej realności uważa podział Europy w czasach Zimnej Wojny.

Skoro Realne jest tym, co zawsze powraca na swoje miejsce, to należy zapytać, jaką rolę odgrywa owo pęknięcie Europy w wypadku Polski. Otóż zdaniem Sowy Realne wtedy powraca na swoje miejsce, gdy Polska przestaje istnieć. Jeśli w rejestrze Realnego Polska jest negatywnością, brakiem tego, co na Zachodzie, to nie ma ona podstaw, siły do tego, aby być podmiotem politycznym. W naszym wypadku powrót Realnego to faktyczne nieistnienie państwa polskiego. Sowa jednak pozwala sobie na reinterpretację polskiej historii i stawia tezę, że brak polskiej państwowości nie zaczął się wraz z zaborami. Polskie państwo umarło wraz z Zygmuntem Augustem, ostatnim Jagiellonem.

Jak widać, to szlachta miała być głównym narzędziem Realnego. Sowa jednoznacznie obarcza tę klasę społeczną odpowiedzialnością za zniszczenie polskiego państwa. Próbuje on zerwać z narracją, że to źli Rosjanie, Prusacy i Austriacy pod koniec XVIII wieku unicestwili krainę wolności, jaką miała być Rzeczpospolita. Nie, to szlachta po śmierci Augusta sprawiła, że polska republika szlachecka istniała tylko w sferze symbolicznej i wyobraźniowej. Całe *Fantomowe ciało króla* można czytać jako jeden wielki akt oskarżenia szlachty.

Warunkiem możliwości owego „dorżnięcia” państwa polskiego były określone procesy historyczne, które pozwoliły szlachcie zdobyć pełną hegemonię w I Rzeczpospolitej. Zdaniem Sowy już w drugiej połowie XV wieku dały się zaobserwować znaczące różnice między dwiema częściami kontynentu. Przede wszystkim, w Polsce nie istniał znany z Europy Zachodniej feudalizm ze swoją hierarchicznością. Każdy szlachcic był – przynajmniej formalnie – równy

Realne wtedy powraca na swoje miejsce, gdy Polska przestaje istnieć

pozostatym. Doprowadziło to do powstania klasy społecznej, której król nie miał siły się przeciwstawić. Skutkiem tego nie doszło w Polsce do powstania monarchii absolutnej, która – zdaniem Sowy – działała modernizująco, prowadząc do powstania nowoczesnego państwa i rozwiniętego kapitalizmu (zaznaczmy, że teza o monarchii absolutnej jako niezbędnym warunku kapitalizmu jest dość wątpliwa, zważywszy, że w wypadku Anglii i Niderlandów trudno mówić o tego rodzaju systemie politycznym). Sowa wskazuje również na słabość miast, brak rzemiosła, niedorozwój kapitalizmu, zdecydowaną przewagę gospodarki ekstensywnej (opartej na jak najpełniejszym wykorzystaniu dostępnych środków produkcji) nad intensywną (polegającej na kreowaniu innowacyjnych środków produkcji) – wszystkie te czynniki były fundamentem, na którym szlachta mogła budować swoją potęgę.

Polska jako projekt kolonizacyjny

Jeśli I RP nie była państwem, to czym? Polskie pseudo-państwo – zdaniem autora – było jedynie narzędziem służącym szlachcie do umacniania swojej potęgi i bogactwa.

Narzędzie to pozwalało na przeprowadzenie przynajmniej dwóch projektów. Po pierwsze, powiększanie wyzysku chłopstwa, po drugie – kolonizacji Ukrainy.

„Ponieważ Rzeczpospolita Obojga Narodów miała kolonializm tak głęboko wbudowany w swoją istotę, na pytanie, czym było fantomowe ciało króla, skoro nie państwem we właściwym tego słowa znaczeniu, odpowiedzieć można również tak, że była to powołana wspólnie przez szlachtę polską i litewską – a głównie ich magnaterie – *Kompania Kresowa* służąca czerpaniu korzyści – gospodarczych, politycznych, społecznych, symbolicznych i wszelkich innych – z kolonizacji wschodnich rubieży Europy Środkowo-Wschodniej” (tamże: 334).

Sowa dowodzi, że Polska prowadziła regularną politykę kolonizacyjną, a samym sensem istnienia Rzeczypospolitej było rozciąganie wpływów na wschodzie. Jest to oczywiście teza dość kłopotliwa. Trudno nie widzieć różnic między inkorporacją województw ruskich w ramach Unii Lubelskiej a na przykład podbojem Indii. Należy też pamiętać, że państwo Jagiellonów było posunięte najdalej na wschód *przed* Unią. To Litwa najczęściej szukała pomocy Polski przed Moskwą próbującą zyskiwać wpływy na ziemiach ruskich. Nie sposób również jako argumentu na rzecz kolonialnego charakteru Rzeczypospolitej traktować faktów mówiących o ciężkiej doli mas chłopskich na Kresach. Los ten nie różnił się wiele od losu chłopstwa polskiego. Co więcej, jeśli za Sową przyznamy, że Polska nie była żadnym państwem, ale narzędziem w ręku magnatów, to wystarczy spojrzeć, jacy magnaci władali na Ukrainie – byli to głównie Rusini i Litwini – aby znaleźć tezę o kolonializmie Polaków cokolwiek odległą od prawdy.

Stwierdzenia, że mieliśmy do czynienia z jakimś spójnym projektem kolonizacyjnym, albo że Rzeczpospolita była nastawio-

na na ekspansję, są przeto zdecydowanie za daleko posunięte. Sowa podaje jednak konkretne przykłady praktyk kolonialnych stosowanych przez polską szlachtę. W wielu tekstach pisanych przez Sarmatów dość dobrze widać podkreślanie swojej inności wo-

Wystarczy spojrzeć, jacy magnaci władali na Ukrainie – byli to głównie Rusini i Litwini

bec Rusinów, przewijają się wątki o pustej Ukrainie czekającej na zagospodarowanie, czy też wręcz o cywilizacyjnym obowiązku utrzymania tego kraju w ramach Rzeczypospolitej. Sowa za pomocą teorii postkolonialnej dekonstruuje te opowieści.

Przechodzimy tutaj do pierwszego z problemów wymienionych na początku tego tekstu. Wydaje się, że użycie dyskursu postkolonialnego jest sprzeczne z fundamentalną dla książki Sowy opowieścią o dualnym podziale Europy. Sowa zdecydowanie twierdzi, że podział ów jest czymś realnym. Jego zdaniem to, że Zachód stoi cywilizacyjnie wyżej od Wschodu, jest faktem, a nie jedynie narracją mającą umacniać panowanie centrum nad peryferiami. Badacze postkolonialni wskazują jednak, że tego typu stwierdzenia nie są niczym więcej jak narzędziem w rękach kolonialnych hegemonów. W jaki sposób Sowa może pogodzić demaskowanie kolonialnych zabiegów polskiej szlachty i jednocześnie twierdzić, że na Zachodzie istnieje realne centrum cywilizacyjne?

Sowa zdaje sobie sprawę z komplikacji, jakie sprawia używanie teorii postkolonialnych. Podaje on dwa argumenty mające świadczyć o tym, że nie powieliła w swoim tekście kolonialnych kompleksów (tamże: 373–378). Podług pierwszego punktem odniesienia polskości jest Zachód, zatem to nie zawsze narracje płynące z centrum utwierdzają nas w peryferyjności, ale sami Polacy

wybrali sobie zachodnią Europę jako obiekt westchnień. Problem z tym argumentem jest taki, że jest on jedynie diagnozą sytuacji kolonialnej, w której znalazła się Polska. Każdy postkolonialny badacz stwierdziłby tutaj, że wyobrażenie o Zachodzie jako punkcie dojścia jest czystą fantazją popularną w każdym kraju skolonizowanym. Recepta byłaby więc dość jednoznaczna: przestańcie myśleć o Niemczech czy Francji jako o ideale, do którego musicie dążyć. Sowa niestety nie przedstawia nam takiej diagnozy.

Drugi argument pochodzi z teorii zależności i mówi, że Polska była peryferyjnym (czyli zależnym) elementem gospodarczego systemu Europy. Skoro tak, to Rzeczpospolita była rzeczywiście na niższym stopniu rozwoju niż Zachód. Znaczyłoby to, że przez Sowę nie przemawiają kolonialne kompleksy, ale ścisłe fakty ekonomiczne. Z tym można się zgodzić, wciąż jednak pozostaje problem, jak pogodzić taką tezę z użyciem teorii postkolonialnej.

Odnoszenie koncepcji postkolonialnych do tekstów Sarmatów o Ukrainie i nie dostrzeganie, że te same koncepcje można zastosować do opowieści o cywilizacyjnym centrum znajdującym się na Zachodzie to pierwsza poszlaka, że Sowa nie zachowuje zrównoważonej postawy w ocenie polskiej historii. Dochodzimy więc do drugiego problemu.

Lepiej jest nie być Polakiem

W rozdziale VI książki Jana Sowy znajduje się sekcja zatytułowana *Co by było, gdyby...*, w której autor rozważa, czy zabory były na pewno zjawiskiem negatywnym. Na początku Sowa w ciekawy sposób opisuje problemy z wchodzeniem w nowoczesność, z którymi musiałaby zmagać się Rzeczpospolita, gdyby w pod koniec XVIII wieku nie przestała istnieć. Kłopot zaczyna się jednak

wtedy, gdy autor zaczyna argumentować, że zasadniczo rozbiory mogły być czymś pozytywnym.

Pierwszą przesłanką takiej tezy jest stwierdzenie Benna Michaela, zgodnie z którym „tożsamość jako takie nie są tymi rodzajami bytów, których istnienie samo w sobie można poddawać jakiegokolwiek waloryzacji” (tamże: 489). Teza ta jest oczywiście prawdziwa. Fakt, że Anglik, który wyjeżdża do Francji i tam przyswaja tożsamość francuską, pozbywając się angielskiej, nie jest z konieczności moralnie zły. Problem powstaje dopiero wtedy, gdy zanik określonej tożsamości wiąże się z cierpieniem jednostek. Sowa słusznie zauważa, że w wypadku Polski wynarodowienie z takim cierpieniem musiałoby się wiązać. Dodaje jednak: „Z drugiej jednak strony, historyczna treść polskiej (szlachecko-sarmackiej) tożsamości narodowej ma w sobie elementy, mówiąc delikatnie, moralnie wątpliwe: niewolnicze *de facto* ubezwłasnowolnienie chłopów, kolonizacja Ukrainy, imperialna dominacja na Litwie, skrajnie niesprawiedliwy i ekskluzywny porządek społeczny itp.” (tamże: 490).

Chciałoby się zapytać autora, jakie tożsamości nie mają w sobie elementów moralnie wątpliwych i dlaczego fakt taki ma być argumentem na rzecz tezy o słuszności wynarodowienia. Nie lubię licytować się na złe uczynki, ale Rosja nawet przed XIX wiekiem miała nie mniej za uszami niż Polska. A co powiedzieć o współczesnych Niemczech? Czy po zbrodniach hitlerowskich nie powinniśmy – idąc za logiką Sowy – uznać, że Niemcy nie mają prawa do istnienia jako naród?

Sowa jako możliwe kryterium rozszkodzenia, czy zabory były czymś słusznym, przyjmuje warunki społeczno-gospodarcze panujące w danym kraju. Pozwala mu to stwierdzić, że „kondycja mieszkańców Prus

i Austrii była i jest zdecydowanie lepsza niż obywateli Polski”. Warto zauważyć, że takie rozważania z kilku względów są ahisteryczne. Nie mamy pojęcia, jak potoczyłaby się historia niepodległego państwa polskiego w XIX wieku. Konstytucja 3 maja jest jakąś przestanką za tym, że nie byłoby aż tak źle. Ponadto Sowa nagle zapomina o tym, jak trudno jest wyplenić narodowość. Zakładając nawet, że do dziś Poznań byłby we władaniu Niemców, z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością możemy stwierdzić, że polska tożsamość nadal byłaby tam silna. Do jakich tarć musiałoby to prowadzić i ile cierpienia musiałoby to wywołać? Nie jestem pewien, czy Sowa przemyślał taką kwestię.

Idźmy jednak jeszcze dalej. Pozostaje kwestia zaboru rosyjskiego. Tutaj sam Sowa stwierdza, że jeśli przyłożymy kryteria społeczno-gospodarcze, to rezultat takiego porównania wypadnie z korzyścią dla Polski. I tu jednak autor znajduje argument na rzecz zaborów. Otóż oderwanie od Rosji polskich ziem stanowiło „istotny regres, który odepchnął Rosję – w sensie geograficznym, społecznym, gospodarczym i kulturowym – od Europy” (tamże: 491). Wydawać by się mogło, że Sowa lansuje tutaj coś na kształt koncepcji Polski jako Chrystusa narodów. Polacy powinni się wyrzec marzeń o niepodległości, bo nasza suwerenność sprawiła, że Rosja nie mogła się zmodernizować.

Sowa chyba zdaje sobie sprawę ze słabości swoich argumentów. Stawia więc tezę, która „przykrywa” dotychczasowe rozważania. Otóż, ostateczną racją na słuszność zaborów jest – według autora – to, że „nieistnienie Rzeczypospolitej było gwarantem stabilności w regionie” (tamże: 492). Sąd taki jest jednak dość łatwo obalalny. Wystarczy podać następujące daty: 1812, 1830, 1863, 1905, 1914, 1918.

Doprawdy, uroki tej stabilności były dość wątpliwe.

Przytoczone wyżej wywody każą mi przypuszczać, że Jan Sowa jest uprzedzony do pomystu polskiej suwerenności. Jeśli używamy argumentu, że podbity lud sprawia, iż lud dominujący staje się bardziej agresywny, to trudno tu mówić o obiek-

Sowa lansuje coś na kształt koncepcji Polski jako Chrystusa narodów

tywności. Gdyby Sowa równo ważył racje, to musiałby też stwierdzić, że Ukraińcy nie powinni się buntować przeciwko szlachcie, gdyż ich bunty sprawiły, że Sarmaci byli jeszcze bardziej zaborczy.

A co jeśli Polska jest realna?

Jak pamiętamy, jedną z tez autora jest stwierdzenie, że na poziomie Realnego polskość jest tylko brakiem. Jednak jeśli przypomnimy sobie jedną z definicji Realnego (Realne to to, co zawsze powraca), to czy nie przyjdzie nam uznać, że polskość jest również pewną siłą z rejestru Realnego? Państwo polskie trwało (nawet jako nie-państwo) aż do 1795 roku, powróciło po zaborach, przetrwało II wojnę światową, stalinizm i PRL. Czy nie są to wystarczające powody, aby powiedzieć, że polskość jest tak samo realna, jak siły, które dążą do jej zniszczenia? A skoro tak, skoro uznajemy, że polskość istnieje realnie, to musimy też uznać, że jest swego rodzaju obowiązkiem. To znaczy, skoro – mimo najlepszych chęci takich autorów jak Jan Sowa – polskość istniała i będzie istnieć, to musimy robić wszystko, by była ona formą, w której Polakom żyje się znośniej. Trudno jednak uznać, że przekonywanie, iż lepiej by było, aby polskie państwo nie istniało, jest najlepszą

drogą do sprawienia, że owa forma będzie potrafiła sprawnie funkcjonować.

Jesteśmy zatem przy trzecim, ostatnim problemie, o którym pisałem na początku. Problem ów brzmi: czy książka Jana Sowy może odgrywać rolę terapeutyczną. Oczywiście jestem co do tego dość sceptyczny. Uważam, że wyjście od Realnego i opisywania Polski w kategoriach braku sprawia, że *Fantomowe ciało króla* będzie działać na czytelników raczej demobilizująco. Warto tutaj zaznaczyć, że większość myślicieli politycznych, którzy używają w jakiś sposób teorii Lacana (Alain Badiou, Judith Butler, Ernesto Laclau, Slavoj Žižek, Chantal Mouffe, Yannis Stavrakakis), programowo powołują się na pojęcia „Realnego” i „braku” (Robinson 2004). Mówienie o Realnym niejako wymusza opowiadanie o braku, gdyż każdy porządek symboliczny i wyobrażeniowy jest niedopełniony i pozostawia puste miejsce. Zatem możemy tu stwierdzić, że trudno mówić o jakiejś wyjątkowości Europy Środkowej, ponieważ, gdy lacaniści analizują Zachód, to również opowiadają o konstytutywnym braku. Trudno brać więc na serio wywody Sowy o specyficznym wybrakowaniu Polski, mając na uwadze, że gdybyśmy badali podobną metodą Francję, to również musielibyśmy dojść do podobnych wniosków.

Należy też nadmienić, że wiele spostrzeżeń Sowy odnośnie do wad Polski szlacheckiej to powtórzenia z polskich socjalistów piszących pod koniec XIX lub na początku XX wieku. Tacy pisarze, jak Bolesław Limanowski, Ignacy Daszyński czy Tadeusz Hołówko (nie mówiąc już o Stanisławie Brzozowskim) wielo-

Gdy lacaniści analizują Zachód, również opowiadają o konstytutywnym braku

krotnie podkreślali gnuśność szlachty, jej niedostosowanie do nowoczesności, oskarżali Sarmatów o skrajny egoizm, bezwzględny wyzysk, jednoznacznie obarczali ją winą za upadek państwa. W tym kontekście dość dziwnie brzmią słowa Jana Sowy, gdy stwierdza, że oto odkrywa przed nami niezdiagnozowane wcześniej symptomy Realnego. O ile jednak autor nie podaje recepty na wyjście z impasu, to PPS-owcy mieli program pozytywny, nie traktowali polskości jak przeszkody, który stoi na drodze emancypacji, ale używali jej jak narzędzia do porwania mas. I trzeba przyznać, że często im się to udawało. Kogo porwie książka Jana Sowy?

Co dalej?

Mamy nadzieję, że to nie koniec naszej dyskusji o książce Jana Sowy. I o Polsce.